ROZMAITOŚCI.

Dnia 13 listopada, N.^er^ 46. roku 1847.

KSIĘŻNA ALEN.

Wiosna roku 1681 rozwinęła swe skrzydła z promieni słonecznych i uroku barw kwietnych.

U wysokiego gotyckiego okna w starożytnym zamku w Celle, siedziała piętnastoletnia dziewica, i śmiejąc się wesoło, oparła jasnowłosą, w bujne sploty utrefioną główkę, o rękę. Biała sukienka obejmowała skromnie pełną, dziewiczą kibić; jedna tylko niebieska lilija tkwiła we włosach. Przed nią stał młody rycerz z baretem o powiewnym pioropuszu w ręku; a jego ciemne ogniste oko, spoczywało namiętnie na lubéj obok niego postaci.

»Jesteś mi dziś wcale rozpustnym, Kenigsmark!« — ozwała się dziewica — »Mało ze śmiéchu, nie płaczę.«

„Gniew ten chętnie zmażę!" — odrzekł hrabia, i spiesznym pocałunkiem omusnął z oka łzę, która po jéj twarzy toczyła się jak kropla rosy po jagodzie.

„Kenigsmark! Ośmielasz się coraz więcéj!" — przejęło dziecię książęce, gniewem spłonąwszy — »Gdybym to mojemu ojcu powiedziała, nie długo podobno bawiłbyś u dworu w Celle.«

»I mogłażby dobra, miła Zofija uczynić to swemu towarzyszowi szkolnemu, który za nią owe trudne łacińskie, przez nudnego doktora akademii zadawane listy układał, który cierpliwie na ośm dni o chlebie i wodzie za to zamknąć się dozwolił, że ona ambasadorowi wiedeńskiemu, chrząszcza do baretu przypięła?« — Tak pieszczotnym głosem zapytywał się rycerz objąwszy miłosném ramieniem księżniczkę

»Nie, Kenigsmark; tego ona nie uczyni« — szepnęła zofija, a jéj usta zetknęły się z ustami młodego hrabi.

Wtém ozwało się na korytarzu ciężkie, brzękotne stąpanie. Długi całunek musiał się wreszcie przerwać, a Kenigsmark zniknął bocznémi drzwiami. Zofija chwyciła do rąk krosienka, a gdy ojciec jéj, Jerzy Wilhelm, książę Cellejski wszedł do sali, już księżniczka rażno szydełkiem na aksamicie kwiat wyrabiała. Stary książę nie mógł po córce niczego się domyślić, bo jéj lica zawsze jak róże kwitły, a przeto purpurowy ich rumieniec bynajmniéj ojca nie zdziwił. Księżniczka ucałowała z uszanowaniem rękę książęcia, i przysunęła mu krzesło, w którém usiadł.

»Zofijo« — ozwał się ojciec — „wiész, żem ci już w dziewiątym roku życia twego zaręczył książęciu Wolfenbüttel; że go niestety, opatrzność pierwéj ze świata zebrała, nim jeszcze zaślubiny wasze nastąpić mogły! Odtąd pierwsi książęta niemieccy zgłaszali się o twoję rękę.... Wybierałem starannie, gdyż wypadało mi czuwać zarazem nad szczęściem mojéj Zofii i korzyścią kraju mojego. Dziś nareszcie stanęło w radzie państwa niezmienne postanowienie, abyś została małżonką elektora Jérzego Ludwika Hanowerskiego, który niegdyś tron Anglii ma odziedziczyć. Jesteś więc narzeczoną, i aby ci to powiedzieć, przyszedłem tutaj.«

Za owych czasów nie było w zwyczaju, aby córki, mianowicie córki książęce, w podobnych wypadkach, rodzicom się sprzeciwiały. Zofija skłoniła się ojcu posłusznie, nie dozwalając ozwać się bolowi, przeszywającemu jéj piersi, i żadne ludzkie oko nie dostrzegło téj łzy, co padła cicho w kielich goździka, który księżniczka właśnie na krosnach wyszywała.

* * *

Leniwie i smutno upływał dziewicy książęcéj czas przedślubny. Przydano jéj surową ochmistrzynię, która i na chwilę Zofii nie opuszczała, przeco wszelki stosunek z Kenigsmarkiem, jéj towarzyszem młodości, ukochanym jéj duszy, ustać musiał. Tylko w zgiełku życia dworskiego spotykała go niekiedy księżniczka, nie mogąc jednak najmniejszego słowa, żadnego prawie spojrzenia, z nim wymieniać. Przecież w łagodne nocy letnie zostawały jéj okna otworem, a natenczas zabrzmiewała do nich z dźwiękiem gitary rzewna piosenka skargi miłosnéj. Niejednego zaś poranku, chociaż mury zamku niezmiernie wysokie były, znajdowała księżniczka świeżą kwietną równiankę na oknie, i rozwijała szybko par-

gaminową owiązkę, zawierającą tkliwe pozdrowienia miłosne od Kenigsmarka.

Wreszcie nadszedł dzień zaślubin, którego Zofija jak śmierci się lękała. Przyszło pożegnać drogiego ojca, i z rozdartém sercem wsiąść do powozu podróżnego. Świetny orszak towarzyszył księżniczce, a w orszaku, mimo jéj wiedzy, znajdował się także hrabia Keuigsmark. W pobliżu Hanoweru zajechał książę Karol, brat narzeczonego, w otwartém polu drogę księżniczce Zofii. Zagrzmiały działa, uderzono wesoło w trąby i kotły, aby oznajmić miastu, iż narzeczona książęcia zjeżdża.

Przed zamkiem w Hanowerze sam Jérzy Ludwik powitał swoję przyszłą małżonkę, która po raz piérwszy obaczyła człowieka, co wszelkie szczęście jéj życia zniszczył. Byłto słuszny, otyły mężczyzna. Bogate szaty ze złotogłowia, nie zdawały się przystawać téj barczystéj, rubasznéj budowie ciała. Brunatne, zarosłe oblicze, wyglądało tém ciemniéj przy najeżonych czarnych włosach na głowie. Chciał wprawdzie książę uprzejmą przybrać minę, lecz mu wcale to się nie powiodło, a wykrzywione uśmiéchem usta, jeszcze bardziéj odrażającego wyrazu twarzy jego nadały. Oko książęcia było szare i bez wszelkiego blasku. Biédna Zofija zaledwie mogła znieść męczarnię tych ceremonij powitalnych, a późnym wieczorem, na śmierć znużona, padła w rozpaczy na bogato przybrane łoże.

Nazajutrz rano liczny orszak dam pokojowych przyspieszył ustroić ją w świetne, perłami przetkane szaty, i przepyszny, świéżą myrtową rószczką opasany dyjadem, wpléść w jéj bujne, jasne włosy. Ale księżniczkę nie wdzięczył ów uśmiéch, jaki ją krasił niegdyś na dworze ojca, gdy ją do weselnéj strojono uczty, na krórej mogła mówić i tańczyć z kochankiem.... Ach! dziś rozstawała się z nim na wieki i musiała z obcym, ponurym człowiekiem iść, do ołtarza. Nie jedna boleena łza spłynęła z oczu Zofii na złote kwiaty weselnego ubioru, a widząc swój blady, bogato ustrojony obraz w źwierciedle, zdało się jéj, jakby musiała patrzyć na swego suto w trumnie przyodzianego trupa!

Wsadzono Zofiję do złotéj, ślubnéj karocy, a sześć rumaków uniosło ją do zamkowego kościoła, gdzie narzeczony już na nią czekał. Dwóch hrabiów i dwóch rycerzy wybrano do niesienia długiego rucha sukni weselnéj, a między nimi postrzegła Kenigsmarka, który drżącą ręką trzymał rąbek jéj szaty. Wtém książę-elektor ujął ją za rękę; dwunastu paziów z jarzącémi świécami ruszyło naprzód, a Zofii zdało się wreszcie, jakby już żywcem do grobu wstępywać miała. Uklękli przed ołtarzem; kapłan zamienił obrączki, a księżniczka dała bezwładnie rękę swoję w rękę narzeczonego włożyć. Tu zagrzmiały działa w znak spełnionego slubu. Zofija ocknęła się przelękniona, gdyż prawie nie wiedziała, co się z nią dzieje; a nim jeszcze zupełnie przyszła do świadomości, była już księżną Hanowerską.

Rozliczne zabawy i świetne turnieje zakończyły gody weselne.

* * *

Trzy lata odtąd minęły, a w zamkowéj altanie z akacyi, które jesień z liści obnażać już zaczęła, siedziała księżna Zofija smutna i zadumana. Twarz jéj była zawsze jeszcze miłą i piękną, lecz cierpienia starły z niéj jasną barwę młodości tak, że podobną była do Madony bolesnéj. Obok niéj w ozdobnym wózku dziecęcym spała maluczka dziewczynka, a ładny, może dwuletni chłopczyna, spoczywał księżnie u łona.

„I kochaszże twoję matkę?” zapytała go księżna, a gdy dziécię małemi rączkami radośnie za szyję matkę objęło, ozwała się ona z rozczuleniem: „A więc ty jeden tylko ją kochasz; bo twój ojciec martwi ją nieustannie, i lżyć ją pozwala swojéj faworycie!”

Zaledwie Zofija prawie niedosłyszalnie te słowa wymówiła, nadeszła lipową aleją osoba, któréj one dotyczyły. Widok jéj musiał zachwycić każdego, kto poraz piérwszy ją widział. Rodowita Włoszka signora Carlotte miała tę spaniełą, bujną figurę, która kobiétom południa tyle powabu nadaje. Zpod długich rzęs wybłyskiwały duże, miłości żądne oczy, a w około jéj cudnie pięknego oblicza, po jéj dumnéj szyi i karku, wiły się połysne, krucze sploty, jakby pożądliwe węże

„Tak samotnie, dostojna księżno!” — rzekła przybyła, skłaniając się z szyderczą czołobitnością przed Zofiją. „Może miałaś jaki szczególny powód wyprawić ztąd dozorczynię swych dzieci?”

„Nie jestem nigdy samotną, gdy dzieci moje są ze mną!” — odpowiedziała Zofija wprawdzie urażona, lecz wymijająca dalszą rozmowę.

„Zapewne” odpowiedziała signora drwiąco — „Jednakże rozmowa z takiemi dziećmi, nie może być ani dowcipną, ani bardzo zabawną.”

„O zabawie matki” — przejęła księżna — „nie może dziewica, jak signora, należytego powziąć wyobrażenia.”

Włoszka zbroiła się już do gorzkiéj odpowiedzi, którą jednak czémprędzéj w sobie stłumiła, postrzegając księcia elektora aleją nadchodzącego. Wyszła mu z śmiéchem naprzeciw, i powitała go słowy:

„Dobrze iż książę przybywasz! Właśnie rozmawiałam z twoją małżonką o dzieciach, i uznałyśmy obiedwie, iż one nadzwyczaj podobne są do pięknego hrabi Kenigsmark. Czyż się książę z tego nie cieszysz?”

Jérzy zawtórzył rubasznemu śmiéchowi Carlotty, i wyszedł wkrótce ze śmiejącą się ciągle signorą z ogrodu.

Zofija pozostała niema, z suchą zrzenicą; nie mogła płakać. Przywołała przydworne panny, i poruczywszy im dzieci, pospieszyła do zamku.

Ale zaledwie w swoich komnatach stanęła, rzęsiste łzy puściły się strumieniem z modrego nieba jéj oczu, i podobnie jak deszcz nawalny, orzeźwia spiekłą skwarem słońca niwę; przyniosły ukojenie jéj śmiertelnie unużonemu sercu. Naraz, śmiała myśl przemknęła jéj przez głowę; osuszyła powieki, i wyjęła dziecię z dużéj, szkarłatnéj kolebki. Zbudzony ze snu chłopczyna zapłakał, lecz poznawszy matkę, objął ją rączętami i pieszczotnie do łona się przytulił. Księżna wyszła z dziecięciem na korytarz, i zmierzała prosto do komnat swego małżonka. Książę spoczywał na miękkiéj sofiie, mając przed sobą śrebrny roztruhan z winem. Na widok wchodzącéj księżny zdawał się być zdziwionym, ale nie ruszył się z miejsca, i z szyderczém wejrzeniem czekał na wyrzuty Zofii.

„Przebacz, książę” — wszczęła małżonka — „że śmiém wchodzić nieoznajmiona; wszakże sądzę, iż żonie i dziecięciu, powinien wstęp zawsze być wolnym. Odkąd kapłan u ołtarza nas złączył, obchodziłeś się ze mną wzgardliwie! Znosiłam to z cierpliwością, i poraz piérwszy przychodzę się dziś uskarzyć. Pozwalasz książę w swéj obecności znieważać mię kobiécie, kobiécie, którà właśnie tyle cię kocha, ile ty ją poważać możesz....”

„Ha, ha, ha!” — przerwał Jérzy z pośmiewiskiem — Morały! Kazania! Gdybym je słyszeć pragnął, poszedłbym do kościoła. Jeźli myślisz księżno, że tak nudnemi sentencyjami ujmiesz mię sobie; tedy mylisz się bardzo. Jestem owszem w zanadto złym humorze, abym je dłużéj chciał znosić.”

„Nié mam wcale zamiaru” — odrzekła księżna spokojnie — „prawić tu o moralności i godności książęcéj; gdyż zanadto cenię to ziarno, aby je na twardą opokę ciskać.”

»Kobiéto!”— krzyknął książę elektor; lecz księżna mówiła daléj bez trwogi: „Aż nazbyt często przekonałam się, iż tu wszelkie ziarno, wszelkie starania marnieją; ale jakkolwiek srogi mój los, żądam przecież, abyś mię książę od zniewagi jednéj miłośnicy uwolnił.”

»Ha!” — krzyknął Jérzy. — »I toż mi waży się powiedziéć miłośnica.. miłośnica hrabi Kenigsmark!”

A przy tych słowach zerwał się wściekły, uchwycił Zofiją za włosy, i włóczył nieszczęśliwą kobietę po ziemi. Zaledwie z największém natężeniem zdołała księżna utrzymać dziécię na rękach, a w obawie upuszczenia go, zawołała w głos o pomoc. Tu nagle drzwi się rozwarły, wpadł książę Karol do pokoju, a za nim nadbiegła panna Molk, dama pokojowa księżnéj. Tamten oderwał wściekłego elektora od małżonki, panna Molk zaś odprowadziła księżnę do jéj pokojów.

* * *

Północ uderzyła z wieży zamkowéj, a dzikie chmury gnały w poprzek tarczy księżycowéj. Zofija siedziała ciągle jeszcze w krześle wpół martwa, jak piękny posąg kamienny. Rozpuszczone włosy spadały w jasnych zwojach na szyję, a kilka kropel krwi, czerwieniło się na białém czole. Przed księżną klęczała panna Molk, jedyna jéj przyjaciołka u dworu, i od czasu do czasu ocucającémi kroplami, skronie jéj nacierała. Nareszcie rozwarły się powieki księżnéj, posunęła ręką po czole, i rzekła z cicha: »Gdzież jestem?»

Dopiéro teraz obejrzała się w około; wszystko co zaszło, zdało się jéj widziadłem sennem, i rzęsistemi zalała się łzami. A po chwili ozwała się do płaczącéj zarówno przyjaciołki:

„Bądź spokojna, Amalijo; mam się dobrze. Jakieś radości uczucie przenika moję duszę; od lat wielu nie było mi tak lekko i swobodnie na sercu. Małżonek mój zerwał dziś ostatnie węzły, które mnie z nim łączyły; pokrzywdził i znieważył się; uważam się więc jako z nim rozwiedziona. Nie mogę. bawić już dłużéj na tém dworze, gdzie każdy pokojowiec palcem by mię wytykał. Skoro tylko pora się zdarzy, ucieknę ztąd! Czuję się przy tém wolną od wszelkiéj winy, i tylko rozstanie się z mojémi dziećmi, i z tobą, sprawia mi jedynę boleść.”

„O, moja droga, uwielbiona księżno!” — rzekła panna Molk, całując ręce księżnéj. »Cożem uczyniła, że mię chcesz oddalić od siebie? O, weź, weź mię z sobą.... Nie mogę cię opuścić!»

»Jeźli tak, więc chętnie zatrzymam cię przy sobie, moja luba”— uspokoiła księżna płaczącą dziewczynę. „Ponieważ w ustroni, do któréj dążę, nie ma ani zabaw ani radości, przeto mniemałam, że wolisz tu pozostać. Nie słusznie cię posądziłam...,. przebacz mi, i wypraw szybko pewnego posłańca do Kenigsmarka. Niech jeszcze dziś w nocy tu przybędzie, abyśmy wspólnie plan ucieczki ułożyć mogli.”

Amalija powstała, i wyprawiła swego brata pazia po hrabię, który jeszcze czuwał u okna, i mniemał marzyć, otrzymawszy to wezwanie. Pospieszył bez zwłoki do kiężnéj, którą w bladéj, uroczéj ujrzał piękności, i ugiął z uszanowaniem kolano przed nią. Księżna wpatrzyła się weń łagodnym wzrokiem i rzewnym przemówiła głosem:

»Wstań Kenigsmark, i spojrzyj mi śmiało w oko. W téj uroczystéj chwili oświadczam ci, iż cię od

najdawniejszego kochałam czasu, jaki tkwi w mej pamięci, i że cię kochać będę, dopóki życia mi stanie. Bogu wiadomo, jak surowo dopełniałam obowiązku względem mego małżonka; Bogu wiadomo, że od czasu mego zamęzcia, nie widziałam cię nigdy sam na sam, i tylko w obojętnych niekiedy słowach mówiłam z tobą. Ale Bóg zna też moje walki, cierpienia, i przepłakane noce! — Wszakże wszystko to już minęło! Tak, Gustawie, kocham cię, i uciekaę z tobą z tego więziennego zamku! będę tylko dla ciebie, dla naszéj miłości żyła!

Tu podała Zofija rękę hrabiemu, i przechyliwszy piękną swą głowę na ramiona kochanka. Kenigsmark przycisnął ją do serca, i złożył pocałunek na jéj czole. Tak upłynęło chwil kilka w niemej błogości, aż w końcu opamiętała się księżna, i zaczęła mówić o ucieczce. W najściślejszéj skrytości miano poczynić wszelkie przygotowania, i tylko panna Molk i Kenigsmark, mieli w ciszy nocnéj opuścić stolicę z księżną. Już dnieć poczęło, gdy hrabia do siebie wrócił, i upojony radością padł na łoże, gdzie go wprawdzie nie sen, lecz marzenia błogiéj przyszłości otoczyły.

* * *

Szpiegi księcia elektora, czatując na każdy krok Zofii, wyśledzili plan ucieczki, a Kenigsmark zaledwie tyle miał czasu, że niezwłocznem umknięciem ocalił się od pewnéj zguby. Schronił się do Polski; a księżna Zofija, spokojna o hrabiego, znosiła cierpliwie wszelkie zniewagi, któremi jéj małżonek teraz ją dwójnasób znieważał.

W lat kilka późniéj, zdało się hrabi Kenigsmark, iż pamięć onego wypadku, zatarła się już ze szczętem u dworu, nieustannie nowémi zawichrzanego niezgodami, i wrócił do Hanoweru. Nowa wiosna zakwitła na widok kochanka w sercu księżnéj; długi smutny czas rozstania poszedł w zapomnienie, a oboje czuli się znowu uszczęśliwionémi żyjąc w pobliżu siebie. Faworyta byłego elektora Ernsta Augusta, rozkoszna hrabina Platen, upodobała sobie hrabię Kenigsmark. Płomienna krew jéj, rozewrzała namiętnością, a hrabina nie starała się bynajmniéj ten żar ugasić. Raz w wieczór spotyka hrabia Kenigsmark pazia w ogrodzie; ten wręcza mu z tajemniczém wejrzeniem bilet w przelocie. Hrabia otwiera liścik, i wyczytuje zdziwiony:

„Kochany Hrabio! Spiesz za paziem, który ci ten bilet wręczy, jestto mój powierny. Spiesz niezwłocznie — szczera miłości oczekuje cię niecierpliwie.

Kenigsmark ucałował bilecik, będąc przekonanym iż on od Zofii pochodzi. W téjże saméj chwili zjawił się znowuż paź tajemniczy. Hrabia zachwycony szczęściem swojém, niespostrzega, że go do nieznanych mu wcale komnat zamkowych prowadzi. Niebiesko-ocienione lampy rozświecają lazurowym blaskiem biały gabinet marmurowy; z przepysznych waz wznoszą się upajające wonie kwiatów i zapachy kadzideł; tęskne dźwięki gitary brzmią z głębi. Tam, na białéj jedwabnéj otomanie, spoczywa niedbale rozkoszna faworytą ... Zdumiony tem widokiem, nie słucha hrabia jéj pochlebnego wezwania, aby usiadł przy niéj; mierzy ją oziębłym wzrokiem, i zbywszy ją kilką niezbyt słodkiemi wyrazy, odchodzi spieszno. Hrabina zacisnęła z wściekłością wargi; miłość jéj zamieniła się w jadowitą nienawiść, a skutkiem omylnéj miłosnéj schadzki, była przysięga śmiertelnéj zemsty za doznaną obelgę.

Na gwałtowne wstrząśnienie dzwonka, wbiega poufny kamerdyner hrabiny Ebert, i otrzymuje od niéj rozkaz szpiegowania wszystkich kroków hrabi Kenigsmark. Wkrótce potém postrzega Ebert pazia, idącego ukradkiem z pokojów hrabi do skrzydła zamku, w któréj księżna mieszkała. Ebert zaczyna go podchodzić, namawiać; jasne złoto zaślepia chłopca; skuszony, dobywa zzanadrza bilet, który miał wręczyć księżnéj. Ebert uchyla ostrożnie woskową pieczątkę, i wyczytuje:

»Zofijo! Przed chwilą wróciłem od hrabiny Platen, za któréj paziem wszedłem niebacznie do jéj pokojów, myśląc, iż on mię do ciebie wiedzie. Wzgardziłem względami faworyty, lecz ona przez zemstę, wraz ze mną i ciebie zgubić zechce. Musimy więc uciekać. Jutro w nocy jestem u ciebie, aby wszystko ułożyć. Bądź więc gotową, gdyż tylko największy pośpiech może nas zbawić.„

Poczém zawarł Ebert znów liścik, oddał go posłańcowi, i polecił mu surwo, wręczyć go księżnéj. Ale każde wyczytane słowo doniósł Ebert swej pani, któréj piękna twarz na tę wiadomość, szatańską zaiskrzyła się radością.

* * *

Zégar na wieży zamkowéj uderzył jedenastą. Ciemność zalegała długie korytarze starożytnego gmachu; tylko gdzieniegdzie dogasającém światłem płonęła lampa u stropu. Jednym z najciemniejszych korytarzów skradała się wysoka, płaszczem owinięta postać. Był to hrabia Kenigsmark, mniemający, że od nikogo nie jest widzianym, gdy tymczasem dwie osoby, zdala pilne nań oko miały. Otworzył cichutko drzwi do przedpokoju księżnéj, i zrzuciwszy tam płaszcz z siebie, został do Zofii wprowadzonym.... Po chwili, gdy wszystko do jaknajrychléjszéj ułożono ucieczki, opuścił hrabia komnatę księżnéj, i wyszedł na korytarz. Tam cztérech gwardzistów natarło nań z dobytami pałaszami tak nagle, że Kenigsmark ledwie oręża mógł dobyć. Przeszył wprawdzie pierś jednemu z morderców, lecz pchnięcie to, złomało szpadę, a teraz, reszta na bezbronnego się rzuciła. Ugodzony wielokrotnie śmiertelnie, padł na ziemię, lecz konając, wołał jeszcze

dogorywającym głosem: »Zabiliście mnie, mniejsza o to, ale na Boga przysięgam! Zofija niewinna!” To wyrzekłszy, umarł.

Cała ta okropna scena odbyła się w ciszy grobowéj. Wszyscy mieszkańcy zamku spali spokojnie; tylko stary książę elektor i hrabina Platen przebrani, przypatrywali się temu krwawemu widowisku. Pokaleczone ciało Kenigsmarka wrzucono do kloaki, która później zamurowaną została. Księżnę Zofiję i pannę de Molk wzięto natychmiast pod straż.

W czasie tego szkaradnego i nieprawego zabójstwa, znajdował się małżonek Zofii zdala od Hanoweru, przy armii. Ojciec doniósł mu o zaszłym wypadku, jako o sprawiedliwéj karze dowiedzionego wiarołomstwa, a książę Jérzy pochwalił ten czyn, wiecznego przekleństwa godny. Sam książę Cellejski, ojciec Zofii, chociaż czule do córki przywiązany, zdawał się o jéj zbrodni być przekonanym, i pozostał w przyjaźnych stosunkach z dworem Hanowerskim,

* * *

Kędy rzéka Allen swe zielonawe nurty po pustéj, posępnéj krainie toczy, wznosił się na niewysokiém pogórzu zamek Alen. Byłto nieregularny gocki budynek z niezliczonémi narożnikami, wieżyczkami, gzymsami, o przestronnych komnatach i ponurych korytarzach. Tam od lat wielu przebywała cicho i samotnie młoda księżna Zofija, którą téjże samej nocy, kiedy hrabię Kenigsmark zamordowano, wraz z panną Molk pod strażą do tego zamku wysłano.

Jedyną jéj rozrywką w tém więzieniu było siedzieć u wysoko-śpiczastego okna, i po nagiéj, melancholijnéj okolicy, spoglądać ku sinym gorom widokręgu. Natenczas zatopiona w marzeniach, rozpamiętywała swoję przeszłość; przypominała sobie kochanka, który zginął dla niéj, a cicha łza żalu ściekała na gzyms okna. Anielska słodycz przemawiała z jéj oczu; ze wszystkimi podwładnémi obchodziła się z uprzejmością, i co tygodnia przyjmowała uroczyście ciało i krew pańską. Wtedy z hostyją w ręku przysięgała zawsze przed kapłanem, iż jest niewinną, i że niesłusznie karę więzienia znosi.

Gdy stary elektor Ernst August umarł, uzyskała Zofija nieco więcéj wolności; mogła schodzić do zamkowego ogrodu, dzikiem porośniętego zielskiem, Jérzy Ludwik przedłożył jéj nawet warunki do zgody, lecz zanadto on ją srodze poprzednio zranił, aby chciała była do dawnego pożycia powrócić, i wolała pozostać w murach więzienia. „Jeżli prawda” — rzekła — »o co mię obwiniono, tedy niegodną jestem tronu książęcego; jeżli zaś to fałszem, tedy Jérzy mnie niegodnym. Nieprzyjmuję więc zgody.”

Konsystorze w Celle i Hanowerze, zapytane o zdanie przy mniemanym występku Zofii, uznały potrzebę rozwodu, a w grudniu r. 1694 przybył do Alen komisarz sądowy, który z wielką uroczystością ten rozwód jéj ogłosił.

Odtąd niejedna jesień ogołociła już ziemię z kwiatów i liści, a nieszczęśliwa księżna tęskniła zawsze jeszcze w pustém więzieniu zamkowém, a wszyscy mieszkańcy okolicy zwali ją tylko »Księżną Alen.” Cierpienia wyryły przedwczesne zmarszczki na jéj obliczu; jasne oko przygasło, a włos złoty, nieznacznie szronem się powlókł. Tymczasem syn Zofii, Jérzy, późniejszy król angielski, wzrastał w silnego, dorodnego młodziana; nauczył się konia dosiadać i bronią robić. Matkę swoję kochał z całym zapałem młodego serca, przechowywał jéj pamięć święcie i niepokalanie w swéj duszy, wizerunek jéj nosił ciągle na piersi. Nareszcie nie mógł już poskromić tęsknoty obaczenia kochanéj matki i dania jéj jakiejkolwiek pociechy. Wsiadł na koń, udał się do warownego zamku Alen, i nurtami rzéki Allen dopłynął na koniu pod jego mury. Atoli dowódca zamku, pan Bülow był człowiekiem nieprzebłaganego serca, i nie chciał narazić się na odpowiedzialność. Mimo najusilniejszéj prośby syna, niedozwolił mu wstępu do zamku, a kochający syn musiał oddalić się, nie widziawszy matki!

Dnia 13 listopada 1726 r. umarła księżna w swojém więzieniu, opuszczając chętnie tę ziemię, na któréj tyle niewysłowionéj katuszy doznała.

Zamek Vincenński.

(Dokończenie.)

Jednego razu osadzono w wieży Vincenńskiéj trzy dostojne osoby, które u kardynała Mazarina w niełaskę popadły; były to: Książę Condé, książę Conti i książę Longueville. Pogrążeni w samotności, bez najmniejszéj rozrywki, powzięli przebiegłą myśl korespondowania ze sobą. Montreuil, sekretarz księcia Conti, kazał zrobić wydrążony talar, którego obie powierzchnie zaśrubowywały się. Dwa, lub trzy razy w tydzień wtrącił Montreuil ten talar pomiędzy pieniądze, przeznaczone dla dostojnych więźniów, a każdego razu znajdował się tajemniczy liścik w talarze, Późniéj wywieziono książąt do Havre, lecz po krótkim tamże pobycie, wrócili wszyscy trzej znowu do Vincennes. Więzienny ich dozorca, nazwiskiem Aar, był tak nieużyty i podejrzliwy, że spowiednika ich chciał zmu-

sić do czytania mszy po francuzku, ponieważ lękał sie, aby w języku łacińskim, którego nie rozumiał, nie udzielono im jakiéj wiadomości. Dla rozerwania sobie nudów więzienia, zajmował się Condé hodowaniem kwiatów. Dnia 13 stycznia 1651 r. uwolniono wszystkich trzech książąt.

Toż i kardynał Retz siedział przez jakiś czas w Vincennes, równie jak i Jouquet, nim go do Bastyli odstawiano. Wpółobłąkana dewotka, pani Guyon, została w r. 1695 w Vincennes zamknięta. Przybywszy tam, ułożyła swoje wcale niezrozumiałe mystyczne pomysły wierszem francuzkim. Jednego razu w przystępie religijnéj ekstazy, poszła jak jéj się zdało, za mąż za Jezusa Chrystusa; a odtąd imię żadnego świętego w modlitwach jéj nie postało. Na zapytanie: dla czego teraz do świętych się nie modli, odpowiedziała uroczyście: »Jestem małżonką Jezusa Chrystusa, a gospodyni domu, nie powinna o nic prosić sług swoich.« — Późniéj odwieziono panią Guyon do Bastyli.

Pewnego dnia r. 1749 był wielki hałas w wieży Vincenńskiéj. W jednéj z cel więziennych na drugiém piętrze trzymało trzech silnych stróżów człowieka, którego wpółobłąkane rysy twarży najsroższą rozpacz wyrażały. Posadzono go na stołku, i przemocą uśmierzono. Zsunięta z głowy chustka zakrywała mu pół twarzy, podarta koszula odsłaniała pierś obnażoną, w konwulsyjném szamocie deptał nogami kapelusz. Byłto Diderot, któremu brak ruchu i samotność więzienia, na jakie od miesiąca był skazanym, pozbawieniem zmysłów groziły. Za radą lekarską pozwolono mu przechadzać się w zamkowym ogrodzie i widzieć się z przyjaciołmi. Już wydaniem swych »Myśli filozoficznych« które uchwałą parlamentu r. 1746 publicznie spalono, ściągnął Diderot niechęć ministra policyi na siebie. W r. 1749 ogłosił on »List o ciemnych, dla tych co widzą« a to nowe dzieło, zawierające doktryny materyjalistyczne, było powodem jego uwięzienia w Vincennes. W dzień po owym napadzie obłąkania, wprowadzono jednego z przyjaciół Diderota do więzienia; byłto Jan Jakób Rouseau. Obaj przyjaciele padli sobie w objęcia. Odwidziny Jana Jakóba sprawiły spodziewany przez lekarza skutek. Umysł Diderota uspokoił się; dano mu potrzebne do pisania materyjały, zaczął pracować. Rousseau odwiedzał go często w więzieniu; lecz przyjaźń ich od r. 1742 bardzo ścisła i serdeczna, zerwała się w r. 1758; obaj stali się zaciekłymi nieprzyjaciołmi.

Hrabia Mirabeau, który był młodym rozpustnikiem nim został wielkim mówcą, siedział z kolei w więzieniu na wyspie Rhé, w zamku If, w twierdzy Joux, i dostał się z następnego powodu w r. 1777 do wieży Vincenńskiéj. Podczas swojéj niewoli w twierdzy Joux zjednał był sobie Mirabeau przyjaźń tamecznego dowódzcy i uzyskał od niego pozwolenie zamieszkania w poblizkiém miasteczku Pontarlier. Tam, chociaż nadzwyczajnie brzydki, jednakże ciągle przygodami miłosnémi zajęty, uwiódł młody hrabia piękną młodą Zofiję de Ruffey, którą rodzice nierozsądnie za sześćdziesięcioletniego ekspreзydenta, margrabię de Monnier, za mąż wydali. Od téj chwili stał się Mirabeau przedmiotem usilnych prześladowań ze strony rodziny swojéj kochanki i margrabi de Monnier, tudzież własnego ojca, który już wielokrotnie o swoim gniewie go przekonał. W skutek listu pana de Malesherbes opuścił Mirabeau Francyję i schronił się ze swoją Zofiją do Holandyi. Parlament Bezansoński uznał go winnym o zbrodnią „rabunku ludzi” i kazał stracić go *in effigie*.

Mirabeau miał właśnie z Zofiją do Ameryki odpłynąć, gdy wysłany za nim do Amsterdamu ajent policyi paryzkiéj, otrzymawszy zezwolenie rządu holenderskiego, uwięził go wraz z Zofiją. Osadzony w Vincennes, siedział tam od 1777 do 1780, tłumacząc Tibula i układając swoje dzieło »*sur les lettres de cachet*«, tudzież swoje listy do Zofii.

Za ministeryjum Breteuila, w r. 1784, wywieziono wszystkich więźniów z Vincennes do Bastyli, a wieża Vincenńska przestała być więzieniem stanu.

W r. 1791 były wszystkie więzienia paryzkie tak przepełnione, że zamyślano urządzić wieżę Vincenńską znowu na więzienie. Ten wniosek municypalności sprawił wielkie zamieszanie w Paryżu, a kupy ludu, które dnia 28 lutego do Viencennes się udały; zaczęły już burzyć przednie warownie, gdy wtém kilka oddziałów gwardyi narodowéj pod dowództwem jenerała Lafayette przybyło i tłumy rozegnało. Następnego dnia kazał sejm narodowy, dla usunienia wszelkiego powodu do rozruchów, zaprzestać rozpoczętych już robót.

Odtąd wieża Vincenńska została więzieniem nierządnic paryzkich, aż wreszcie r. 1794 szpital Saint-Lazare, na przedmieściu Saint-Danis, na ten cel przeznaczono.

W nocy z dnia 20 na 21 marca sprowadzono do Vincennes młodego księcia d'Eughien, i tam jakoby o spisek przeciw Francyi przekonanego, na wałach twierdzy, która wówczas jeszcze w więzienie stanu na powrót przerobiona nie była, rozstrzelano.

Książę d'Eughien nie jest ostatnim w poczcie sławnych mężów, których mury Vincenńskie zamykały, gdyż r. 1830 przybyło do tameczněj wieży naraz czterech ministrów, to jest: panowie Polignag, Peyronnet, Guernon i Chantelauze, kontrasignatorowie ordonansów lipcowych, które rewolucyją wywołały.

Chociaż historyja zamku Vincenńskiego jako twierdzy wojennéj zaledwie przeciąg dwudziestu lat

obejmuje, zyskał on przecież bardzo ważną pamiątkę w rocznikach wojennych Francyi. Oddawna już należycie bronią zaopatrzony, został z rozkazu Napoleona, który inwazyję nieprzyjacielską z r. 1813 wcześnie przepowiedział; jeszcze mocniéj obwarowanym i dowództwu jenerała Daumenil poruczonym. Oficer ten, znany zaszczytnie u wojska pod imieniem »kulas« — stracił bowiem w bitwie pod Wagram nogę — okazywał się ze wszech miar godnym zaufania cesarza. Mimo wszelkich groźb i obietnic utrzymał on się r. 1814 i 1815 w swojéj twierdzy, a nieprzyjaciel nie mógł żadnym sposobem do niéj się przedrzéć. »Oddam wam twierdzę« — mawiał wesoło — »jeźli mi nogę moję oddacie.« Blücher ofiarował mu milijon w liście. Daumenil nie przyjął téj sumy, i odpisał, iż ten list Blüchera dzieciom swoim puścizną pozostawi.

W średnich wiekach uchodził zamek Vinceński za jeden z największych i najwarowniejszych grodów, jakoż i następne lata, doczekawszy się ukończenia niezmiernych fortyfikacyj, nad jakiémi tam obecnie pracują; uznają w nim jednę z najniedostępniejszych warowni teraźniejszego czasu.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 44ty i zawiéra: 1) Marcelego Dłużniewskiego: O użyciu kwasu siarkowego do sprawiania roli. 2) O machinach do żęcia zboża, wynalazku p. Feliksa Piaseckiego. 3) O nawodnianiu łąk. (Ciąg dalszy). 4) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Do historyi dzwonów. Według zgodnego podania wszystkich prawie dawniejszych historyków, wynalazł duże dzwony, ku użytkowi przy nabożeństwie, około r. 400 biskup Paulinus z Noli w kampanii rzymskiéj; ztąd łacińska nazwa dzwonów *nolae* czyli *campanae*. Małe dzwony były już od dawna wynalezione. Dopiéro w 9m wieku upowszechniły się duże dzwony w oryjencie przez Wenecyjan. Na zachodzie już one dawno były znane. Najpierwéj wspomina je tam historyja przy oblężeniu Orleanu w r. 659. Gdy bowiem francuzki król Lotar toż miasto wielkiém wojskiem obegnał; kazał tameczny biskup Lupres uderzyć we wszystkie dzwony przy kościele św. Szczepana; przy którychto niesłychanych potąd dźwiękach wojownicy Klotara tak srodze się potrwożyli, że wszyscy w niezmiernym popłochu pierzchnęli, i tak króla do ustąpienia z pod miasta zniewolili.

Fanatyzm. Przy tegoroczněj procesyi hinduskiéj do świątyni w Jagernat w Indyjach wschodnich, rzuciło się pięciu Hindusów w pobliżu pagody pod koła olbrzymiego wozu, na którym bożka wieziono, i dało się na miazgę zdruzgotać. Bez zapobieżenia wójsk angielskich groźbą, że procesyje takowe raz na zawsze zakazane zostaną, jeżeli podobne ofiary nadal zdarzać się będą; byłoby się ze sto osób, które już w pogotowiu stały, pod koła wozu rzuciło.

Nowy środek pożywienia. Jest takowym, według doniesienia belgickiego konsula jeneralnego w Peru, Bolivii i Eucadorze, roślina *Coca*, która jak słychać, w żadnym względzie kartofiom nie ustępuje. Rośnie ona w okolicach nad Amazonem i jego przybocznémi rzekami. Liście téj rośliny mają być nadmiar pożywne. Uprawiano ją już za panowania Inkasów, a w Wyższém i Niższém Peru tworzy ona po dziś dzień główną żywność większéj części ludności. *Coca* może być z łatwością przewozoną i nie potrzebuje żadnéj dalszéj przyprawy. Dość jest żuć tę roślinę i wysysać jéj sok pożywny. Równie też w przypierających do wschodniéj strony Andów okolicach Peru i Bolivii, bywa *Coca* powszechnie uprawianą. Liczą ją tam do najznamienitszych ziemiopłodów, i zbierają co cztéry miesiące. Potwierdzenie tegoż znajduje się w sprawozdaniu hrabi Castelnau, przedłożoném ministeryjum francuzkiemu. Czytamy w niem, że Indyjanie kilkudniowe podejmują podróże, nie zaopatrując się inną żywnością jak wiązką tych liści. Jakoż nie podlega wątpliwości, że w krótkim czasie roślina ta będzie w Europie bardzo poszukiwaną, i że, mianowicie w dłuższych podróżach morskich, za najstosowniejszą posłużyć może żywność.

O kawałkowaniu polypów. Wiadomą jest rzeczą, iż każdy polyp może być w kawałki pokrajanym, i że z każdego kawałka, nowy polyp się tworzy. Można też żyjątka te jak rękawiczkę nicem wywrócić, tak, iż wnętrzna strona wierzchnią, a wierzchnia wnętrzną się stanie. Podobnie też można tym źwierzątkom głowę albo tylną część na powzdłuż rozpłatać, i utworzyć sobie tak polypy o kilku głowach albo kilku ogonach, i t. d. Dla czegoż z każdéj odciętéj cząstki innego źwierzęcia, np. owadu, albo ptaka, osobne nie powstaje źwierzę? Pochodzi zjawisko to ztąd, iż polypy nie uczłonkowały się podobnie jak doskonalsze źwierzęta; każda część polypa jest osobną całością, przeco źwierzę to zawsze tém samém zostaje, lubo je w kawałki pokrajemy. W doskonalszych zaś źwierzętach stała się każda część pewnym członkiem, warunkiem całości, a ztéj przyczyny, odjąwszy pewien istotny członek, odjęlibyśmy całość. Twierdzenie, jakoby w mniéj doskonałych źwierzętach największa część materyj była jedynie fizyczném, bezduszném, a przeto bez uszkodzenia całości podzielném ciałem; jak to znakomity fizyjolog Müller przypuszcza, jest bezzasadném; gdyż pod wyrazem dusza, duszewność, rozumiemy raz na zawsze tylko wewnętrzność każdego ciała.

Lekarstwo na cholerę. Gdy cholera przed kilką laty w południowéj Francyi grasowała, postrzegł pewien lekarz w Marsylii, że wyrobnicy w kopalniach węgla kamiennego prawie bez wyjątku choroby téj unikają. Postanowił więc użyć węgla kamiennego za lekarstwo przeciw cholerze, a środek ten skutkował najpomyślniéj. Działa on anticeptycznie, a ponieważ na wszelki wypadek jest nieszkodliwym, przeto godziłoby się uczynić z nim stosowne doświadczenia, zwłaszcza gdy potąd żadnego pewnego lekarstwa na cholerę nie wynaleziono.

Nowe rozporządzenie papieża. Pisma niemieckie donoszą: Dotychczas mogli Chrześcijanie z Żydówkami, które się wychrzcić nie chciały, we Francyi tylko cywilne małżeństwo zawierać. Według nowego rozporządzenia papieża Piusa IX, które niedawno w Marsylii po raz pierwszy w życie weszło, mogą takowe małżeństwa w kościołach katolickich być zawieranemi.

Dom żelazny. Pewien magnat węgierski sprowadził niedawno do Pesztu z Anglii dom z żelaza lanego, jakie tamże w Anglii w coraz większéj doskonałości są do nabycia. Taki trzypiątrowy dom o 12,

13 pokojach kosztuje tylko 11.000 złr., i nie waży więcej jak 16, do 17.000 cetnarów.

Tombola w Wenecyi. Podczas kongresu naukowego w Wenecyi odbyła się tamże dla rozweselenia zgromadzonych uczonych i sprowadzenia ich z jałowych stepów szpekulacyi w zieloną krainę życia gminnego, ulubiona włoska gra loteryjna, Tombola zwana. W tym celu wystawiono na placu dużą glorijetę, w której o godzinie 9 losowanie się rozpoczęło. Każdy wyciągnięty numer oznajmiono w głos publiczności, a nadto wywieszano go jeszcze na ogromnéj tablicy. Każdy los kosztuje sorokowca i zawiera 15 numerów w trzech rządkach. Ten więc z grających, na czyim losie najprzód numera w jednym rządku *wyjdą*, wygrywa kwadernę; pięć numerów w jednym rządku znaczą *cinquine*; wszystkie 15 tombolę; są zaś dwie tombolę; gdyż ciągnie się dopóty, aż póki dwaj grający wyiścia wszystkich piętnastu numerów na swoim losie nie doczekają się. Nagroda za kwadernę czyni 600 sorokowców, za *cinquinę* 800, za pierwszą tombolę 2000, za drugą 1200. Ciekawą było rzeczą widzieć, z jaką namiętnością cały lud gra w Tombolę. Za piątém ciągnieniem była już jedna kwaderna wygrana. Wygrywający musi natychmiast głośno zawołać, iż wygrał; na co zapalają w koło niego ogień bengalski, aby go wszyscy widzieli, a potém prowadzą go do glorietty, gdzie wygrane otrzymuje! kto nie oznajmi za raz wygranej, traci ją. Osobliwszą zabawką bywa, gdy ktoś mylnie wygranę oznajmi. Wznosi się natenczas powszechne urągowisko, które niefortunnego gracza do rychłéj ucieczki zmusza. Zdarzyło się to przy pierwszéj *cinquinie*. Wszakże jeszcze większą rozrywkę sprawił ktoś, zawoławszy *Tombola!* Jakoż ujrzano wnet poważnego jegomości w przyzwoitem stroju, zmierzającego do glorietty. Lecz widok jego wzbudził powszechne szemranie, gdyż nikt zwyższych stanów nie powinien według zwyczaju przyznawać się do wygranéj, a ow jegomość był nadto cudzoziemcem, Anglikiem, jak się w oka mgnieniu rozniosło. Na dobitek okazało się, iż się omylił, i nuż dopiero krzyk, gwizdanie, pośmiewisko — publiczna wrzawa! Późniéj opowiadano sobie, iż *mylord* umyślnie mylną wygraną oznajmił, aby sobie zart zrobić. Przy 52 ciągnieniu *wyszła* prawdziwa tombola; i to nawet zarazem na dwóch losach, co niekiedy zdarzyć się może, a w takim razie wygrywający dzielą się wygraną. Zaraz przy następném ciągnieniu oznajmiono w tórą tombolę i także na kilku odrazu losach; a to było zakończeniem gry; poczem nareszcie po spaleniu ogniów sztucznych, przy odgłosie szumnéj muzyki, rozeszła się publiczność.

Wybieg Paryżanina. Mierny francuzki autor napisał jeszcze mierniejszą powieść. Składała się ona ze zwykłych ingredyjencyj modnego romansu francuzkiego, jako to: mordów, cudzołoztwa, trucizny, zwłok krwawych i tym podobnych pieprznych przypraw. Nazywał się ten romans: »Atrydzi tegocześni« lub też podobnie. Widownią jego była Anglija. Z początku mimo wszelkich ponęt nie zważano na ten romans. Aż po niejakim czasie okazał się w jednym z pism paryzkich list, niby z Londynu, uskarzający się gwałtownie, iż ów romas wykrywa bez wszelkich względów tajemną historyję pewnéj rodziny angielskiéj. Zarazem oświadcza autor listu, iż ta rodzina proces francuzkiemu romansopisarzowi wydać zamyśla, i wszalkich usilności dokłada, aby się na tym od czci i wiary w liście odsądzonym noweliście zemścić. Jak się rozumié, przeszedł wzmiankowany list wkrótce we wszystkie pisma paryzkie, a z tych do dzienników londyńskich, zaciekających się w najdziwaczniejsze domysły, którato też rodzina angielska być może? Domysły pism londyńskich zostały z nowémi przypiskami powtórzone w pismach paryzkich. Tak urosła ztąd ogromna sprawa, posunięta aż do wieści o niebezpieczeństwie życia, mającém grozić autorowi romansu. Pisma francuzkie stanęły w obronie zagrożonego i miotały gromy na arystokracyję angielską. Anglicy odpowiadali niemniéj siarczystémi piorunami, przeco z tajemniczéj sprawy kilku osób, przyszło do jawnéj dziennikarskiéj wojny we dwóch stolicach świata. Wszyscy ciekawi byli czytać romans, który stał się powodem tyle wrzawy i prześladowań. Książka miała szalony odbyt, i dopiero po rozkupieniu drugiego i trzeciego wydania, przekonano się, że romans jest bardzo lichy, a cała wrzawa żadnego rzetelnego wątku nie miała, i wynikła jedynie z wybiegu autora, który imię swoje tanim sposobem chciał rozgłosić.

Scena w sali sądowéj. Na publiczném posiedzeniu sądu poprawczego w kolonii zdarzył się następujący epizod, który samże dziennikarz mający w nim udział, w ten sposób opisuje; »Przy wszystkich ważniejszych sprawach — jak to zwykle bywa, zgromadza się publiczność bardzo licznie w sądowej sali, i przeciska się aż do kratek przedzielających miejsce od stołu pisarza sądowego dla świadków przeznaczone; a że zła akustyka sali, inaczéj rozpraw dokładnie słyszeć niedozwala, przeto nikt zwykle tego nie broni. Ja stałem tym razem także na samém przodzie, i spisywałem ważniejsze momenta rozprawy. Z tego powodu wszczęła się następna rozmowa, którą tu ile możności dosłownie powtarzam. **Prezes.** Postrzegamy, że ktoś rozprawy notuje. — **Ja.** Czy to nie wolno? — **Prezes.** Nié ma wprawdzie na to zakazu, jednakże jestto rzecz niezwyczajna. — **Ja.** Proszę pana prezesa powiedzieć mi, czy mam zaprzestać? — **Publiczne ministeryjum.** Muszę zabrać głos w téj sprawie. Nié masz wprawdzie przeciwnej temu ustawy, i nie mogę nikomu wzbronić robić notatek; jednakże występować w ten ssposób naprzód, i przed oczyma sędziów rozprawy słowo - w - słowo spisywać — mam za rzecz **nieprzyzwoitą**. — Usunąłem się nieco w głąb sali, lecz wkrótce zostałem zawezwanym — **Prezes.** Czy masz pan jaki szczególny interes w spisywaniu tych rozpraw? — **Ja.** Nié mam w tém innego interesu nad powszechny, jaki do dzisiejszego posiedzenia się przywiązuje. Nie mogłem przypuszczać, aby sąd hołdujący zasadzie jawności, miał się lękać téj jawności w kole obszerniejszym, i wzbraniać mi spisywania notatek. Jeżelim się jednak omylił, tedy proszę mię tylko oświecić, a natychmiast pisać przestanę. Zresztą nie wystąpiłem bardziéj naprzód, niż inni; zła akustyka sali tłumaczy mię, dla czego w tylnych szeregach nie stanąłem. Nie sądzę więc, abym się przeto nieprzyzwoitości miał dopuścić. **Prezes.** Nic; i ja też podobnie sądzę. Woźny! Postawić krzesło do stołu dla tego pana, aby mógł wygodnie pisać, — Ukłoniłem się, i wszedłem na trybunę, dla sędziów przeznaczoną; zająłem wskazane sobie miejsce. (Publiczność przyjęła to zakończenie grzmiącym oklaskiem).

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.